

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

14

— Bo to widzi... pani... — jaką dziewczyną — jabym chciała wiedzieć, jak się rozmawia z człowiekiem, co jest bardzo mądry, bardzo uczony, strasznie elegancki. No taki wielki pan... żeby się przed nim nie zawstydić. I niech mi pani powie, co to jest hi-sto-ryk sztuki?

Słowo historyk wymówiła z pewnym trudem, rozdzielając zgłoski.

Panna Ożarska wytłomaczyła jak mogła najjaśniej i najprzystępniej. Powtarzała po kilka razy jedne i te same najprostsze określenia, czyniąc w duchu uwagę, że lekcje z wojennymi milionerkami nie należą do najłatwiejszych.

Stefa słuchała nadzwyczaj uważnie ze ściągniętymi brwiami, ze zmarszczonym czołem. W drganiu mięśni twarzy, w skupionym wyrazie bladych, okrągłych oczu, poznać można było wysiloną pracę myśli. Starła się, koniecznie pragnęła zrozumieć, zapamiętać.

— Dziękuję pani, już wiem... A jeszcze... Co to takiego decent na uniwersytecie?

— Decent?... Chyba docent chciała pani powiedzieć?

— Tak, tak, docent — poprawiła się zawstydzona dziewczyna — omyliłam się. Lęzyk mi się zaplątał.

Nauczycielka wyjaśniła jej krótko a zwięźle. Stefa, wysłuchawszy, zauważyła z lekkim rozczarowaniem:

— Tak?... To docent mniej niż profesor? A ja myślałam, że więcej.

— Docent po pewnym czasie może zostać i zwykle zostaje profesorem uniwersytetu.

— A ja znam jednego pana, co dopiero ma być takim docentem, a jest mądrzejszy, niż wszystkie profesory razem!

— Może — odparła krótko Julia. — A czego by się pani chciała jeszcze dzisiaj dowiedzieć?

Postanowiła, rezygnując z regularnych lekcji z Burczykiewiczówną, odpowiadać poprostu na jej pytania.

— Jeszcze poprosiłabym panią, żeby mi pani opowiedziała coś o tej sztuce, co ją dzisiaj grają w teatrze.

— Kiedy nie wiem, co dzisiaj grają... — panna Julia westchnęła, bo dość dawno nie była już w teatrze. Nie pozwalał jej na to szczupły budzet nauczycielski.

— Grają księdza... księdza... Zaraz sobie przypomnę... Aj, co ja mam za głowę!

— Może „Księdza Marka” Słowackiego? — poddała nauczycielka.

— Tak! „Księdza Marka”.

— Pani się na tę sztukę wybiera? Radziłabym iść na coś innego, łatwiejszego do zrozumienia.

— Kiedy tato wziął już łożę i zaprosił jednego pana. — Stefa znowu splonęła ognistym rumieńcem.

Panna Ożarska zaczęła popularny wykład o „Księdzu Marku”, polecając swej ucznicy notować niektóre rzeczy.

Nie skończyła jeszcze, kiedy zapukano do drzwi.

— Proszę.

Do pokoju weszły zaróżowione od chłodu Wanda Borowicka i Różia Goldbaumówna.

Wanda w białym sweaterze i miękkiej białej czapeczce, z puchem śniegowym na włosach i ubraniu wyglądała jak królewna z zaczarowanego pałacu Zimy.

Błyszczące białe gwiazdki zdawały się topnieć pod promieniami czarnych, południowych oczu.

— Dobry wieczór! — zawołała. — Oho, przyszedliśmy nie w porę. Przeszkadzamy lekcji.

Panna Ożarska odwróciła głowę. Na jej nieładnej, przywidłej, łagodnej twarzy odmalował się wyraz przyjemnego zdziwienia.

— Wandzia!... Różia!... Jak się macie dziewczuski! Nie, nie przeszkadzacie wcale. Już i tak miałyśmy kończyć. Prawda, panno Stefo? — wstała i serdecznie witała swe dawne uczennice, dziwnie mała, niepokąźna, szara i zgaszona wobec tych dwóch młodych, świeżych, urodziny i dobrze zbudowanych dziewcząt.

Burczykiewiczówna nie odpowiedziała. Może nawet nie słyszała słów nauczycielki, bo z całym natężeniem uwagi nie odrywała oczu od panny Borowickiej. Te blade oczy w skapej oprawie złotych brwi i rzęs jarzyły się teraz ogniem mocnym a niedobrym.

Namiętnie zazdrośnym spojrzeniem objęła w jednej chwili całą postać pięknej panny, od popielatych pukli włosów aż do trzewików nie najmodniejszego fasonu, z dość grubej „boksowej” skóry i na niskich obcasach, ale obcisających nogę małą, niezwykle kształtną.

Julia, przywitawszy swych gości, zwróciła się teraz ku Stefie:

— Moja uczennica, panna Stefania Burczykiewicz... Moje dawne uczennice: panna Borowicka, panna Goldbaumówna — przedstawiła.

Stefa wstała machinalnie z krzesła i niezgrabnie podała rękę Różi. Natomiast wyciągniętej ku niej dłoni Wandy zaledwie dotknęła palcami, mierząc przytem pannę Borowicką wzrokiem tak pełnym wyraźnej niechęci, że to musiało zwrócić uwagę.

Panna Ożarska miała minę lekko zmieszana i szczerze zdziwiona. Przywykła bowiem, że dotychczas Burczykiewiczówna zachowywała się nie tylko grzecznie, ale wprost nieśmiało i potulnie.

Wandy grymasy Burczykiewiczówny nie obezły wcale. Ta wystrojona uczennica panny Julii wydała się jej tylko śmieszną i źle wychowaną.

Nie zajmując się nią więcej, zaczęła rozpinąć guziki sweteru i delikatnie otrząpywać śnieg z białej wełny.

— To ja już pójdę — rzekła Stefka głosem, który brzmiał nieco inaczej aniżeli jej zwykły głos.

Nikt nie zaprotestował. Burczykiewiczówna stanęła przed lustrem i jęła przyspilać swój kapelusz, kosztowne arcydzieło modniarskie z aksamitu i piór, jak najniebezpieśliwiej dobrane do płaskiej twarzy dziewczyny.

Wkładała kapelusz jakoś jednak bardzo powoli, bezustannie śledząc każde poruszenie Wandy, studiując każdą fałdkę jej ubrania, jakby się chciała nauczyć całej jej osoby na pamięć.

Wanda pod sweaterem miała skromną, lecz gustowną i dobrze skrojoną, ciemno-granatową sukienkę z marynarskim kołnierzem i płaską kokardą ponsowej krawatki.

Na szlachetnej i poważnej prostocie tego ubrania Stefka Burczykiewicz nie umiała się poznać. Suknia panny Borowickiej wydawała się jej bardzo uboga, prawie nędzna.

Uśmiech trochę tryumfujący, a więcej pogardliwy rozchylił jej usta. Z demonstracyjną dumą zarzuciła na ramiona swą przepyszną, gronostajową pelerynę.

Kiedy brała do ręki swój ogromny, kulisty zarękawek, lekceważącym spojrzeniem musnęła skromną, niewielkich rozmiarów popielicową mufeczkę Wandy.

Wydeła wargi i rzuciła:

— To jest całkiem niemodne! Tego już nikt szanujący się nie nosi!

Na tę nieoczekiwaną uwagę Różia i Wanda parsknęły jednogłośnie śmiechem. Stefka podrażniona byłaby brnęła dalej w swej naiwnej impertynencji, gdyby nie surowe, nakazujące spojrzenie panny Ożarskiej. Pod wpływem wzroku nauczycielki zmieszana się i bąknawszy pod nosem kilka niewyraźnych słów, wyszła.

— Pyszny okaz! — śmiała się Wandzia — to pewnie jakaś wojenna bogaczka, paskarzówna!

— Rzeczywiście.

— A więc moja koleżanka niestety — zauważyła z niewesołym humorem Różia.

— Dajże spokój, Różka! Także masz pomysły! No, doprawdy nie zazdroścę paniusi — mówiła Wanda, siadając na niskim, wygniecionym foteliku — lekcji z tą młodą damą. Jest istotnie niezwykle miła i uprzejma w zachowaniu i zdaje się zdradzać olbrzymią inteligencję!

— Co do inteligencji, to ta rzeczywiście pozostawia dużo do życzenia, ale co do zachowania, to mylisz się. Ja nie pojmuję poprostu, co się dzisiaj tej dziewczynie stało. Ona zwykle jest bardzo grzeczna, cicha, wprost nieśmiała.

— Wobec mnie zachowała się obojętnie. To tylko ku Wandzi kierowała się jej wyraźna niechęć i impertynencja — skonstatowała Różia, która usiadła także.

— I ja to również zauważyłam — przyznała panna Julia, poprawiając jednocześnie coś koło lampy, która się bardzo źle świeciła.

— A cóż ona może mieć do mnie? Nie znam jej, pierwszy raz w życiu ją widziałam.

— Może ona jednak ciebie już zna — szepnęła w zamyśleniu Goldbaumówna. — Jak to ona się nazywa ta pani uczennica?

— Stefania Burczykiewicz.

— Burczykiewicz... Burczykiewicz... Czy oni mieszkają?... — wymieniła ulicę i numer domu.

— Tak.

— Aha! Teraz zaczynam rozumieć! — pomyślała Różia i cichutko westchnęła z żalu nad przyjaciółką, która bynajmniej tego nie przewidując, wesoło rozmawiała z Julią.

— Czemże ja was przyjmę, moje dziewczęta? — rozglądała się gospodyni z pewnym zakłopotaniem po swoim skromnym mieszkanku. — A!... Już wiem!

Z malej szafeczki, przeznaczonej na szafarnię, wyjęła nieduże okrągłe pudełko do polowy wypełnione pomadkami.

— Proszę was, jedzcie.

— Oo!... Pomadki! Paniusia robi zbytki, a może to jaki adorator — zażartowała poufale Wanda.

Pannie Ożarskiej ani było w głowie obrazić się o ten niewinny żarcik, boć stosunek pomiędzy dwoma panienkami a ich była nauczycielką miał charakter koleżeński i przyjacielski.

Podstarzała, skłonna do sentymentalnych zwierzeń, panna niejednokrotnie wywnętrzała się przed Różią i Wandą ze swych niespełnionych marzeń i zawiedzionych nadziei. Te wyznania, często naiwnie szczere, budziły w umysłach młodych dziewcząt sympatyczne, choć trochę figlarnie drgające echo.

Lubiły Julię, współczuły jej, miały głęboki szacunek dla tej kobiety dobrej i poświęcającej, dla tej pracownicy cichej, cierpliwej i wytrwałej, niemniej jednak wydawała się im czasem zabawną nieco ze swym wiecznym wzdychaniem za miłością, która przed nią uciekała przez całe życie.

I teraz odpowiedziała Wandzie z lekkim westchnieniem:

— Gdzie ja tam mam jakich adoratorów! Nie miałam ich, póki byłam młodsza, to teraz tem bardziej. Burczykiewiczówna przyniosła mi fe cukierki. Bo, powiedziałam wam, ona dla mnie jest ogromnie uprzejma i wprost uprzedzająca. O! i ten kwiat także od niej. — Panna Ożarska wskazała na wazon z dużą chryzantemą, której złociste kwiaty obumierały już.

— Już wędną — zauważyła Różia.

— Rzeczywiście, choć mam ją tydzień dopiero. Trudno! Nie mam szczęścia ani do kwiatów ani do chłopców — uśmiechnęła się melancholijnie przywidła panna.

W tem prostym, szczerem powiedzeniu i w tym uśmiechu było tyle cichego smutku słęsknionej, wydziedziczonej duszy, że żadna z młodych przyjaciółek nie uczuła ochoty do żartów.

Musnął je powiew z krainy szarej, smętnej, bez słońca, bez kwiecia, bez wiosny.

— Panna Ożarska, wsparłszy głowę na dłoń, mówiła głosem cichym, matowym, więcej sama do siebie niż do swych towarzyszek.

— Tak... Nie mam szczęścia. Nigdy go nie miałam. Nie podobałam się nikomu. Nie wiem, dlaczego właściwie. Nie wmawiam sobie wiele, ale przecież znałam takie, które wcale nie były piękniejsze odemnie, a podobały się, kochano je, żyły życiem pełnym, normalnym. A mnie, mnie nikt nie kochał. Nawet dla rodziców, dla sióstr, dla brata byłam zawsze tylko tą „najstarszą”, która powinna myśleć o innych i zarabiać, jak najwięcej zarabiać. Mój brat pisze do mnie tylko wtedy, gdy potrzebuje pieniędzy, siostry jeżeli mają jakiś interes. I kiedy spojrzę w moje życie, to nie wiem doprawdy, czego uczyć się wspomnieniem. Uczylam się pilnie, bardzo pilnie, a potem bardzo wcześniej zaczęłam uczyć innych. I uczyć ciągle i nic więcej. A lata płyną, płyną, bezbarwne, jednostajne, choć w koło szumią fale życia bujnego.

Nie po raz pierwszy Julia użalała się przed Wandą i Różią na swój szary, nie rozświetlony żadnym błyskiem szczęścia los. Dzisiaj jednak skarga jej dźwięczała jakoś dziwnie żałośnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).